

Myśliwski płynnie i z wirtuozerią porusza się w czasie i przestrzeni, przechodzi z miejsca w miejsce, od postaci do postaci, zahaczając o te drobne, bardziej blahe – błotki, a zatrzymując się na dłużej przy tych istotnych – figurach: matce, Marii, krawcu Radzikowskim i jego współpracownikach, u których swego czasu

bohater odbywał praktykę, przy szewcu Matei, z którym niejedną partyjkę pokera rozegrał, a ostatnią na jego grobie. Pozostaje mieć nadzieję, że *Ostatnie rozdanie*, wbrew tytułowi, nie jest ostatnim słowem Myśliwskiego w polskiej literaturze. Tak mistrzowsko rozgrywanych partii nigdy w niej bowiem za wiele.

## Leszek Szaruga Pro / za i przeciw. 1

Zyta Orszyn, *Ocalenie Atlantydy*, Świat Książki, Warszawa 2012  
Szczepan Twardoch, *Morfina*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2012  
Grzegorz Filip, *Studnia*, Wydawnictwo JanKa, Pruszków 2013



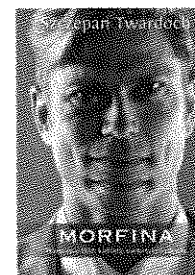
*Ocalenie Atlantydy* Zyty Orszyn to powieść, której przestrzeń narracyjna rozciągnięta jest między dwoma światami – utraconej kresowej przeszłości i tworzonej powojennej terażniejszości na ziemiach poniemieckich, na Dolnym Śląsku. Rodzina, obawiając się odpowiedzialności za swą – klasowo i politycznie niesłuszną przeszłość – wyzybywa się swej tożsamości. Ojciec, próbujący urządzić sobie nową egzystencję w niechcianym i narzuconym ustroju, żyje słabnącą nadzieją na wyzwolenie, na nadejście „Naszych”: „Tatuńcio bezustannie na nich czekał. Cekał już wtedy, kiedy zakopywał pod roztrzaskaną sosną mundur i furazerkę, w której schował rewolwer. Cekał też tutaj, na tych złotodajnych poniemieckich terenach, na których złota nie znajdowano, ale czasami można się było nachapać różności – nawet pani Kilowskiej trafiła się maszyna do szycia marki Singer i wybijający godziny zegar ścienny. Wielu się nachapało – tylko nie tatuńcio”.

Rekonstrukcja tego świata, o którym literatura dotychczas milczała, pojawia się w coraz liczniejszej grupie utworów pisarzy urodzonych u schyłku lat trzydziestych ubiegłego wieku – w *Pióropuszu* Mariana Pilota, w *Domu nad Lutnią* Kazimierza Orłosia. To świat wielkiej powojennej wędrówki ludów, przemieszczeń

i wypędzeń, brutalnej instalacji nowego ustroju. I tak jak u tamtych autorów, również w powieści Orszyn mamy do czynienia z narracją dziecięcą, ale nie bezpośrednią, gdyż nałożoną na świadomość późniejszych przemian. Przy czym w *Ocaleniu Atlantydy* to przenikanie się obu perspektyw – doraźnego doświadczenia i historycznego dystansu, dziecięcej naiwności i dojrzałego namysłu – podkreślone jest przez specyficzny język opowiadania, jego funkcję sprawozdawczą, potoczność, bezpośredniość: „Wacio nie wierzył w ten tatuńciowy desant i Naszych, i babunię kontrolował ostro, czy czasami, poza niedzielami, nie zostaje Adelajdą Zauer. Wolał, żeby się nimi nikt w skórzanych płaszczach nie zajmował, nie lubiłby zniknąć, jak zeszłoroczny śnieg”. Babcia, przedwojenna inteligentka, nie może nawet oficjalnie używać „wykwintnego” i niepasującego do obecnej roli imienia, o czym przypomina jej syn: „Mama nie ma prawa wiedzieć niczego o przedwojennych aktorkach. Mama jest chłopką, analfabetka i takiej cywilizacji, jak kino, na oczy nie widziała”. Odpowiedź babci jest tyleż złośliwie dowcipna, co dramatyczna: „Ja jestem przyzwyczajona do porządnego kina, gdzie cierpi się jak w życiu, a nie do takiego, gdzie świat się śmieje razem z Lubow Orłową, a cierpienie nie istnieje”. Przy czym zastanawiam się,

jak wielu czytelników jest w stanie dziś z pełnym zrozumieniem odczytać aluzje zapisaane w tej wypowiedzi, kto jeszcze pamięta film *Świat się śmieje*. Właśnie w tak budowanych wypowiedziach, zarówno narratorki, jak i kreowanych tu bohaterów, skrywa się nośność sztuki opowiadania Orszyn – odwołania do rzeczywistości („skórzane płaszcze”, „świat się śmieje”) nie zawsze są formułowane wprost, czasem trzeba je odnaleźć pod powierzchnią słów.

A jednocześnie właśnie dzięki temu mają one walor ustnej, żywej, zanurzonej w tamtym czasie opowieści. Ta warstwa utworu Orszyn stanowi bez wątpienia demonstrację skutecznych artystycznie umiejętności pisarskich. Prawda literatury i prawda historii dopełniają się tutaj i odsłaniają absurd zideologizowanego świata, którego emblematem staje się tablica postawiona przez los przed oknami jednej z bohaterek: „Niech żyje i umacnia się Władza Ludowa”. I tak to trwa aż po powstanie Solidarności i autoironiczną uwagę matki, która opisującej ponurą rzeczywistość Peerelu Grecie powiada: „To ważne. Z tym trzeba walczyć, ale może by tak coś pozytywnego pisać. O tym, co będzie, jak zwalczymy ten ustrój. O tym, co zrobię, żeby szkło bolesne, obraz dni, przekształcić na szkło radosne, nieuwierające oka”. To, rzecz jasna, zadanie wykraczające poza przestrzeń tej powieści, przynajmniej pozornie. Bo przecież – i warto o tym pamiętać – pisanie Grety to odnajdywanie siebie, dochodzenie do siebie po czasie milczenia i kłamstwa, powrót do kreowania własnej tożsamości. Dopiero wtedy powstać może perspektywa pozwalająca „coś pozytywnego pisać”. Warto również sięgnąć po zamieszczony w „Wysokich Obcasach” (nr 19/2013) wywiad z autorką, która komentuje sytuację, w jakiej się sama po wojnie znalazła: „Od razu jak przyjechaliśmy pod Wałbrzych, rosyjscy żołnierze zaprowadzili nas do naszego nowego domu. Byli tam jeszcze poprzedni mieszkańcy. Niemka krzyczała: „Mein Gott, mein Gott!”, do swojego syna i wyrywała sobie włosy z głowy, a ja sobie myślałam: „A idź ty, hitlerowo, ode mnie”. Pamiętałam opowieść o swoich ciotkach z Podola



wywiezionych w ciągu dwóch godzin na Sybir tylko dlatego, że były „polskimi paniami”, ale jednocześnie patrzyłam, jak ja sama kogoś wyrzucam. Kiedy weszliśmy do kamienicy, na stole stał jeszcze świeży kompot i ciepła zupa. Od razu zaczęłam się rozglądać za zabawkami”.

„Morfina” Szczepana Twardocha kończy się – w przedostatnim zdaniu – zgrabnym aforyzmem: „Nic nie jest do czegoś”. Ta potężna objętościowo powieść relacjonuje losy Ślązaka, który w Warszawie we wrześniu 1939 roku brał udział w obronie miasta, by później, zbiegiem okoliczności, wplątać się w konspiracyjny bałagan. Mówiący biegle w obu językach – po niemiecku z wiedeńskim akcentem – narkoman i bonvivant dba w istocie głównie o swoje dobro, z dystansem obserwując zarówno polskie patriotyczne uniesienia, jak i niemieckie okupacyjne praktyki. Zaopatrzonej w porządną polską mieszczańską żonę (i syna), ale też w erotycznie dynamiczną żydowską kochankę, płacze się w labiryncie opanowanej przez Niemców Warszawy (i nie tylko), ustawiony przez wpływową matkę (która z zapalczywej Polki przekształca się w zdyscyplinowaną Niemkę „w mundurze NS-Frauenschaftu”) oraz ojca, którego niemiecki mundur pomaga mu maskować cel własnych poczynań.

Powieść napisana jest sprawnie, choć, przynajmniej na mój gust, momentami chyba przegadana, spulchniona niejako przez samą frajdę opowiadania (tu warta uwagi jest gra narracyjna polegająca na przemianym użyciu w relacji o własnych doświadczeniach bohatera pierwszej, drugiej i trzeciej osoby). Kosteczek, jak go poufale nazywa narrator, nie odmawia sobie przyjemności, cały czas też podejmuje starania o zdobycie przynoszącego ukojenie narkotyku. Zarazem też, zatrudniony w służbie wywiadowczej, choć traktuje to zajęcie z nieukrywaną ironią, przecież jednak wykonuje powierzone mu zadania: „Gdzież mnie zaprowadziło bycie Konstantym morfinistą i dziwką, do tego, że z konieczności wydłubałem człowiekowi oko, aby potem go z zimną